

## Marek A. Cichocki: Wolna Elekcja

Wielkie było poruszenie Rzeczypospolitej poprzedzające pierwszą elekcję. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że koniec końców, szlachta chciała mieć wtedy po prostu problem z głową, wybrać nowego króla i rozjechać się do domów. Nie zdecydowano się nawet przecież na to, by zasady wyboru tego ustrojowego filaru szlacheckiej wolności porządnie spisać w jednym dokumencie, aby po wsze czasy wiadomo było, co i jak – pisze Marek A. Cichocki w książce „Północ i Południe”.

Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie, bez ogródek: pierwsza wolna elekcja, ten filar nowego ustroju Rzeczypospolitej, zakończyła się okropną kompromitacją. Haniebna ucieczka dwudziestotrzyletniego Walezjusza z Polski po kilku miesiącach symulowanego panowania powinna być dla wszystkich ostrzeżeniem. Tak samo jak zdanie wykrzyknięte przez starostę oświęcimskiego, który miał ponoć rzucić się do rzeki za uciekającym królem w okolicach Pszczyny, wołając bezradnie: „Najjaśniejszy Panie, czemu uciekasz?”. No właśnie – dlaczego nowo obrany król ucieka od swych wolnych obywateli? Ta sytuacja była zawstydzająca, rozczarowująca, musiała także poważnie wpłynąć na rosnące poczucie chaosu i zagrożenia. Szlacheckiej Rzeczypospolitej, dopiero co ukonstytuowanej po śmierci Zygmunta Augusta, groził rozpad, a przynajmniej zamęt. Zagony Tatarów pustoszyły Podole i Ruś, Inflantom groziła Moskwa, a szlachta deliberowała o tym, czy ucieczka Henryka jest już bezkrólewem, czy tron opustoszał, i czy w tej sytuacji należy myśleć o wybraniu nowego władcy.

Ale jeśli tak, to kogo? Czy ma to być ktoś z cesarskiej rodziny Habsburgów (taka kandydatura miała silne stronnictwo w Polsce, między innymi wśród Zborowskich), czy raczej powinien być to ktoś inny, ktoś ze swoich, kto nie ucieknie, nie zdradzi. Z całą pewnością w obliczu kompromitacji, jaką stała się ucieczka Walezego, rosła przede wszystkim pozycja tych, którzy optowali za kandydatem rodzimym, za tzw. „Piastem”, czyli jak pisze Bielski: tych, którzy chcieli, „aby spośród siebie pana sobie obrać”. Ale czy to możliwe i czy to w ogóle uchodzi, by takim sposobem wywyżżyć jednego spośród wszystkich, którzy przecież mają być sobie równi? Czy przecież nie o równość właśnie walczył cały ruch egzekucyjny i nie na równości miała opierać się złota wolność szlachecka w Rzeczpospolitej? Tutaj spośród różnych ustrojów elekcyjnych ówczesnej Europy dobrze znany przykład Republiki Weneckiej dostarczał najbardziej oczywistego wzorca, w jaki sposób można by sprawę wyboru króla rozwiązać. I był to wzorzec, który przez lata pobytu w Padwie Zamoyski i wielu innych przedstawicieli polskiej szlachty obserwowali z bliska. Doża, najwyższy urzędnik wielkiej Republiki, wybierany przez ogół dorosłych obywateli spośród grona najznamienitszych rodów, stanowił przykład tego, jak wybór „Piasta” mógłby w praktyce wyglądać.

Chaos wywołany przez Walezjusza trwał ponad rok, do października 1575 roku, kiedy udało się zwołać sejm konwokacyjny. Nie zwlekając więc już bardziej, wyznaczono elekcję nowego władcy za miesiąc. To drugie bezkrólewie było faktycznie dużo krótsze od pierwszego, a mimo wszystko wydaje mi się, że wcześniejszy wybór Walezego, pierwsza wolna elekcja, był trochę takim zaklajstrowaniem wielkiego ustrojowego problemu nowo narodzonej szlacheckiej Rzeczpospolitej, wielką improwizacją nowego politycznego narodu, czymś w rodzaju wielkiego eksperymentu.

*Pierwsza wolna elekcja była  
trochę takim  
zakłajstrowaniem wielkiego  
ustrojowego problemu nowo  
narodzonej szlacheckiej  
Rzeczpospolitej, wielką  
improwizacją nowego  
politycznego narodu*

To prawda, że  
towarzyszyła temu i  
podniosła atmosfera,  
i wielkie przejęcie, i  
liczne deliberacje po  
sejmikach, no i cała  
bogata literatura  
ulotna, odezwy,  
wiersze, agitacje. W  
ciągu sześciu  
miesiący, które  
dzieliły zgon

Zygmunta Augusta w Knyszynie od sejmu konwokacyjnego w Warszawie, w Rzeczpospolitej odbyło się jakieś trzydzieści zjazdów szlacheckich, na których deliberowano o wyborze monarchy i o gwarancjach ustrojowych szlachty. To daje średnio aż pięć zjazdów na miesiąc! Wielkie więc było poruszenie Rzeczpospolitej poprzedzające pierwszą elekcję. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że koniec końców, szlachta chciała mieć wtedy po prostu problem z głową, wybrać nowego króla i rozjechać się do domów. Nie zdecydowano się nawet przeciw na to, by zasady wyboru tego ustrojowego filaru szlacheckiej wolności porządnie spisać w jednym dokumencie, aby po wsze czasy wiadomo było, co i jak. Jak twierdzili złośliwi, podobno z powodu, że już samo dokładne spisanie zasad wolnej elekcji jako ustrojowego prawa niepotrzebnie krępowałyby tę fundamentalną wolność politycznego narodu. Faktycznie więc ucieczka Walezego mogła być postrzegana trochę jako kara Boża za tak oczywiste zaniechania, za zbyt lekkie podejście do tak kluczowej sprawy.

Trudno jest teraz dokładnie rekonstruować nastroje towarzyszące drugiej elekcji, po ucieczce wybranego króla przed swoimi wolnymi obywatelami, jednak liczby mogą o czymś świadczyć. Przyjmuje się, że pierwsza elekcja miała zgromadzić na polach kamionkowskich nad Wisłą nawet do pięćdziesięciu tysięcy szlachty. Druga, zwołana na Woli, około dwunastu tysięcy. To liczby bardzo szacunkowe i bardzo niepewne. Właściwie w ogóle nie należy się do nich przywiązywać. Może po prostu jak się szlachta po raz pierwszy w tym swoim politycznym akcie elekcyjnym zobaczyła i policzyła, to był to widok tak wyjątkowy, zapierający dech, że można było to wielkie wrażenie wyrazić wyłącznie wielkimi liczbami, i stąd te pięćdziesiąt tysięcy. Od elekcji Władysława IV jest już łatwiej liczyć, a to dzięki tzw. suffragiom, listom obecności podpisywanym przez przybyłych elektorów. Wtedy zwykle liczba wahała się w okolicy kilku tysięcy, maksymalnie kilkunastu. To pokazuje, że w przypadku pierwszej elekcji, nawet jeśli wziąć pod uwagę efekt nowości, zaciekawienia oraz mobilizacji, mówimy o liczbie pochodzącej z wrażenia, prawdopodobnie mocno przesadzonej. Choć te dwanaście tysięcy z elekcji drugiej musiało mieć tak samo charakter bardzo orientacyjny, jest to jednak liczba dużo mniejsza. Wydaje mi się więc – nawet jeśli jakąś rolę mogła odegrać także późna pora roku drugiej elekcji, choć z drugiej strony w polskim klimacie nigdy nie ma dogodnej pory roku – że w tym wypadku wyraźnie pokazał się symptom jakiejś demobilizacji, rozczarowania szlachty. I może to właśnie musiało prowadzić do podjęcia wysiłku, aby koncept Rzeczypospolitej, która wybiera sobie króla, ponownie i solidnie przemyśleć, powiedzieć wyraźnie, o co tutaj chodzi, co jest stawką tego wielkiego politycznego aktu wolności.

Kiedy więc po miesiącach chaosu i rosnącej niepewności spowodowanych ucieczką Walezjusza, zebrał się wreszcie w listopadzie 1575 roku sejm elekcyjny, to zamienił się on szybko w wielką scenę politycznego *theatrum*, w spektakl politycznego narodu, w którym to otwarcie powiedziano sobie na swój własny temat prawdy podstawowe – pryncypia. Ten drugi sejm elekcyjny zamienił się więc w doniosłą oraz podniosłą ustrojową debatę, całkiem inaczej niż to będzie dwanaście lat później, po śmierci Batorego, gdy pod murami Warszawy chodzi bardziej o zbrojne wyrównanie wzajemnych rachunków, które omal nie prowadzi do straszliwej, krwawej jatki. Ale Rzeczpospolita tak właśnie na swój szczególny, nieprzewidywalny sposób działała – rozciągnięta na wielkie obszary, bez dogodnej infrastruktury, bez dróg i mostów, które pozwalałyby jej mieszkańcom sprawnie przemieszczać się z jednego krańca wielkiego państwa na drugi, zachowywała swoją polityczną całość, swoją spójność, własną samowiedzę, przede wszystkim dzięki słowu, spisaniem w setkach apeli, memoriałów, wierszy, listów, ale jeszcze bardziej słowu mówionemu na forach owych pięćdziesięciu czterech sejmików, z których polityczne ciało Rzeczpospolitej się składało, a przede wszystkim zaś na sejmach koronnych czy elekcyjnych.

Tutaj jednak, w listopadzie 1575 roku w Warszawie, sytuacja była szczególna, gdyż to naród mówił sam do siebie o sobie bez króla, bez władcy, który uciekł, a więc nawet nie umarł i nie można go było pochować, co czyniło całą sytuację wyjątkową – mówił o tym, jak sam siebie rozumie, zawstydzony niespodziewanymi skutkami pierwszej wolnej elekcji, ale i głęboko podzielony. A zachowane do naszych czasów z tego wydarzenia mowy pokazują także, jak pięknie szlachecki naród potrafił o sobie i do siebie mówić! Wypada przecież pamiętać, że Rzeczpospolita była przede wszystkim właśnie kulturą krasomówczą,

oratorską, wyrosłą na najlepszych wzorcach klasycznych, na lekcjach pobieranych od samego Cyncerona, Demostenesa i Kwintyliana oraz z odpisów najzdolniejszych włoskich humanistów. I nie sposób było uprawiać u nas polityki bez posiadania najlepszych oratorskich umiejętności – a więc zupełnie inaczej niż jest to obecnie. Można, myślę, powiedzieć całkiem śmiało, że w tamtych czasach sztuka mówienia, retoryka była dla Polaka tym, czym dla Włocha muzyka i opera, a czym dla Francuza stał się teatr. I to do tego stopnia, że później Szymon Starowolski, za młodu zresztą dworzanin Zamoyskiego, przyzna, że „w Polsce nie może ten się nazywać obywatelem, a nawet śmiało powiem Polakiem, kto o rzeczy jakiegokolwiek wymownie i ozdobnie prawić nie umie, i to nie tylko po łacinie, ale i w mowie ojczystej, która wszystkie krasomówcze i poetyckie ozdoby, jakie tylko Grecy i Rzymianie wynaleźć mogli, snadno przyjmuje”. I dlatego podczas owej listopadowej elekcji Polacy nie tylko tak wiele, nie tylko tak mądrze, ale i tak pięknie o samych sobie potrafili powiedzieć, że my dzisiejsi, z tym naszym chropowatym, wulgarnym językiem, którym posługujemy się w bieżącej współczesnej polityce, a także mówiąc do siebie proste, zwykłe rzeczy, możemy im jedynie bardzo pozazdrościć i bardzo się zawstydzić.

*Elekcyjne zgromadzenie  
Rzeczpospolitej zapierało  
dech w piersiach i nie miało  
sobie równego widoku w całej  
Europie*

Zanim można było się zebrać, pole elekcyjne wymagało wielu szczególnych przygotowań poprzedzających wybór króla. Przede wszystkim należało

przygotować wał i rów otaczające sporej wielkości równoległobok, plac zgromadzenia senatorów i posłów ziemskich. Do miejsca tego

prowadziły trzy wzniesione bramy w usypanych wałach, symbolizujące trzy główne prowincje Rzeczypospolitej – od zachodu Wielkopolska, od południa Małopolska, a od wschodu brama dla Litwy i Białej Rusi, jako że Podole, Wołyń i Ukraina stawały się razem z Małopolską. Symbolika i kierunki nie były przypadkowe. W tym skrawku ziemi pod Warszawą powstawało coś w rodzaju *axis mundi*, centralnego punktu wspólnoty. Był to taki sakralny omfalos, polityczny pępek Rzeczypospolitej, w którym nasi przodkowie odprawiali swoje misteria wolności. Plac zgodnie z politycznym porządkiem przedzielony był na dwie części. Mniejsza dla senatorów, biskupów, wojewodów, kasztelanów i ministrów obradujących pod kierunkiem prymasa interrexa, czyli tzw. bezkróla w specjalnie wzniesionej na tę potrzebę szopie senatorskiej, oraz większa przeznaczona dla koła rycerskiego, czyli posłów ziemskich, których naradami pod gołym niebem kierował wymowy. Wokół wałów natomiast, w zbrojnym porządku województw i pod sztandarami, rozbijała swoje obozy pozostała brać szlachecka. Jak zapewniają nas różne opisy, pozostawione przede wszystkim przez zagranicznych przybyszów, takie właśnie elekcyjne zgromadzenie Rzeczypospolitej zapierało dech w piersiach i nie miało sobie równego widoku w całej Europie.

Skoro mówimy o miejscu, to w rzeczywistości Rzeczpospolita miała dwa pępki, bo z początku najwyraźniej nie było pełnej zgody i przekonania co do tego, gdzie dokładnie polityczny naród może oddawać się wielkiemu świętu wyboru własnego władcy. Pierwsza wolna elekcja Walezego odbywała się na prawym brzegu Wisły, we wsi Kamionek, skąd rozciągał się widok na rzekę i usytuowaną na przeciwległej skarpie Warszawę. Druga i wszystkie następne, aż do elekcji Augusta III Sasa dokładnie sto sześćdziesiąt lat później, miały miejsce na Woli, znacznie dalej od murów miasta. Zapewne różne praktyczne względy dyktowały taką właśnie zmianę miejsca elekcji,

choć nie da się wykluczyć, że chodziło także o to, że Kamionek źle się wszystkim kojarzył, przypominał głównie fatalny w skutkach wybór Walezego i późniejszą straszną kompromitację, więc aby zatrzeć pamięć o tych przykrych wydarzeniach, dać najważniejszej ustrojowej instytucji Rzeczypospolitej niejako drugi początek, zdecydowano się w 1575 roku na nowe miejsce na Woli.

Nie mogę się jednak tutaj powstrzymać od pewnej gorzkiej uwagi na temat tego, jak my dzisiaj traktujemy ten dawny *omfalos* naszej wolności. Kamionek zniknął całkiem z mapy, pozostał jedynie w nazwie jeziora Kamionkowskiego w Parku Skaryszewskim. Po placu pierwszej wolnej elekcji, u zbiegu ruchliwej Targowej i Grochowskiej, jeżdżą dziś tramwaje i samochody, a na parkingu Stadionu Narodowego tłoczą się autokary. Tylko ulica Jagiellońska oraz krótka i obskurna ulica Zamoyskiego, zupełnie nieodpowiednia dla wielkiego Kanclerza, sygnalizują nieopodal jakąś odległą i zapomnianą już całkiem historię. Trochę inaczej jest w przypadku elekcyjnych błoni na Woli, bo tam przynajmniej w kluczowym miejscu, między stacją benzynową, murem ewangelickiego i żydowskiego cmentarza a Obozową, ustawiono na pamiątkę postument – zwieńczoną koroną skromną kolumnę o szumnej nazwie Obelisk Electio Viritim, który jest chyba jedyną taką istniejącą pamiątką tej największej perły w koronie ustroju Rzeczypospolitej, owego zwieńczenia politycznej, obywatelskiej wolności, którą nasi przodkowie ustanowili sobie w wyniku wyjątkowej w naszej historii, wspaniałej rewolucji.

A to przecież właśnie tam, gdzieś między stacją benzynową, Obozową, po której pędzi tramwaj, i ceglanym murem cmentarza rozegrało się imponujące polityczne widowisko sejmiku elekcyjnego drugiego, teatr polityczny narodu Rzeczypospolitej, gdzie szlachta była i widzom, i

aktorem, a główne postaci, *dramatis personae*, posługując się dobrze wyćwiczonym oratorskim orężem, stanęły naprzeciw siebie w uroczystych, podniosłych pozach, by wyłożyć, czym ten nowo powstały polityczny naród, który ma wybrać sobie króla, jest i jak siebie sam powinien rozumieć.

*Marek A. Cichocki*

Fragment książki *Północ i Południe. O polskiej polityce, historii i kulturze*. Rozdział: „Czarny kanclerz”. Strony 201-207, wydanie II. Książka dostępna jest w księgarni Teologii Politycznej (także jako e-book)



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego